

Nie planowała zostać,  
ale on złapał jej serce na laso

# Dust Storm

MAGGIE GATES



MAGGIE GATES

# Dust Storm

PRZEŁOŻYŁA  
Gabriela Iwasyk



TYTUŁ ORYGINAŁU:

*Dust Storm*

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczyni: Maria Mazurowska

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan

Korekta: Anna Burger

Projekt okładki: Melissa Doughty – Mel D. Designs.

Opracowanie graficzne okładki: Wojciech Bryda

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2024 Maggie C. Gates.

All Rights Reserved

Published by arrangement with Bookcase Literary Agency, and Booklab Agency.

Copyright © 2025 for the Polish edition by Papierowe Serca an imprint  
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Gabriela Iwaszyk, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-435-6

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | [www.WydawnictwoKobiectwo.pl](http://www.WydawnictwoKobiectwo.pl)



# 1

## *Christian*

– Schodźcie, wiewióreczki! Pospieście się! – wrzasnąłem w górę schodów.

– Tato! – Jedna wiewióreczka zachichotała radośnie. – Jesteśmy dziewczynkami, nie wiewiórkami!

Z leżącej obok dzbanka na kawę krótkofalówki wydobyło się trzeszczenie, gdy CJ, mój najmłodszy brat, złożył raport na temat przemieszczania się stada.

Na ranchu braci Griffithów mieliśmy dziewięć tysięcy sztuk bydła, więc roboty nigdy nam nie brakowało, a jednak bardziej niż to absorbowały mnie te dwa diabełki, które w tym momencie powinny przygotowywać się do szkoły. Na piętrze nadal panowała cisza, więc odłożyłem łopatkę i wychyliłem się za róg.

– Bree! Gracie! Kończcie się ubierać, rozczeszcie włosy i umyćcie zęby!

– Ja chcę warkocze! – zawołała Bree, szarżując po schodach w dół jak przypuszczający atak zawodnik drużyny futbolowej.

– Ja też! – zawtórowała Gracie z łazienki, którą dzieliła z siostrą.

– Nie! Warkocze są dla mnie. Wybierz coś innego – warknęła Bree.

– Hej! Nie kłóćcie się tak wcześnie rano – huknąłem na tyle głośno, żeby usłyszały mnie z kuchni.

– Ale ja pierwsza zaklepałam sobie warkocze! – Bree sapnęła gniewnie, wpadając do kuchni i chwytając naleśnika ze świeżo nasmażonego stosiku.

Opłukałem ręce i szybko je wytarłem.

– Obie możecie mieć warkocze.

– Ale ona odgapia ode mnie.

Trzynastoletnia Bree pragnęła tylko jednego – żeby jedenastoletnia Gracie przestała chodzić za nią krok w krok, jak szczeniak z szeroko otwartymi oczami.

Zaśmiałem się na myśl o tym, jak lata temu uważaliśmy z Gretchen, że mamy urwanie głowy z dwoma maluchami. Teraz byłem zupełnie sam z dwoma gimnazjalistkami.

– W takim razie może zrobię każdej inne warkocze? – zaproponowałem, odwracając się z powrotem w stronę kuchenki, żeby usmażyć resztę naleśników. – Podajcie pudełko.

Bree przytaczała ogromne pudło na przybory, w którym trzymałem wszystkie akcesoria do włosów, umieściła je na stole, a sama klapnęła ciężko na krześle. Postawiłem przed nią talerz z jajkami na bekonie, a ona dołożyła podkradzonego naleśnika. Wcinała aż miło, podczas gdy ja grzebałem w małych przegródkach pełnych gumek, spinek, grzebyczków, szczotek i milionów innych drobiazgów, które dziewczynki uważały za absolutnie niezbędne.

– Jakie warkocze robimy dzisiaj? – zapytałem, tłumiąc ziewnięcie. Przeczesałem jej ciemnoblonde włosy, rozplątując kilka przegapiionych kołtunów.

– Kłosa – odpowiedziała z buzią pełną jajecznicy.

– Ciasne czy luźne?

– Luźne. Te puszyste. Ze spinkami.

Nikt nie powiedział, że będzie łatwo. Prowadzenie rancza. Obowiązki rodzicielskie. Znalezienie w tym wszystkim chwili dla siebie granoczyło z cudem.

Robienie tego wszystkiego samemu było do dupy, ale nie chciałem, żeby dziewczynki czuły, że są dla mnie ciężarem. Nie wszystko szło mi świetnie. Na przykład rozmowa z Bree na temat okresu kilka miesięcy temu, podczas której jąkałem się i zacinalem.

Ale się starałem.

Cholera, naprawdę się starałem.

Bree siedziała nieruchomo, kiedy rozdzylałem jej włosy na pasma, które następnie zacząłem przeplatać, tworząc płaskie warkocze.

Warkocze to łatwizna. Co innego pieprzona lokówka, to dopiero jest wyzwanie!

Czego dowodem były poparzenia na moich palcach.

Bree skończyła śniadanie, a ja właśnie rozciągałem sploty w ciasnych warkoczach, żeby stały się lekkie i puszyste.

Wyglądało na to, że ciasno splecione warkocze nie były już *cool*.

– Moja kolej! – powiedziała Gracie, przepychając się do pudełka na przybory. – Chcę...

– Byle nie kłosa – wtrąciła się Bree.

Miałem ochotę wyrzucić oczami, ale się powstrzymałem.

Marzyłem tylko o jednym poranku, podczas którego nie będą sobie o wszystko skakać do oczu. Czy to tak wiele?

Powinienem już zaczynać pracę.

– Chcę koronę z warkocza.

Bree wydawała się udobruchana takim wyborem.

Gracie zrobiła sobie taco z naleśnika, napelniając go jajecznicą i chrupiącym bekonem, po czym dołączyła do mnie na kanapie. Położyła się na boku i oparła głowę na mojej nodze, a ja zacząłem pleść koronę.

Właśnie schowałem końcówkę pod warkocz i podpiąłem wsuw-  
ką, kiedy Bree wrzasnęła:

– Babcia już jest!

Gracie wystrzeliła z kanapy jak rakietą.

– Drugie śniadanie macie w lodówce – powiedziałem, zbierając  
z kanapy akcesoria do włosów.

Założyły plecaki i wskoczyły w buty. Drzwi lodówki trzasnęły,  
kiedy każda chwyciła swoje pudełko z lunchem.

Błagały, żebym im pozwolił kupować lunch w szkole, ale dla  
mnie własnoręczne przygotowanie drugiego śniadania znaczyło,  
że mi zależy. Że włożyłem w to czas i wysiłek.

A może po prostu powinienem pozwolić im jeść szkolny lunch?

Przesunąłem ręką po brodzie, patrząc, jak wybiegają z domu  
obładowane jak muły.

Mama czekała w terkoczącym na jałowym biegu minivanie, aż  
dziewczynki wskoczą na tył i zapną pasy.

– Dzięki – zwróciłem się do mamy, zaglądając przez okno od  
strony pasażera.

Staralem się dawać z siebie wszystko. Szczególnie w stosunku  
do bliskich mi ludzi. A córki były mi najbliższe.

Gdy Gretchen umarła, pogrążyłem się w żałobie. Przez krótki  
czas skupiłem się wyłącznie na sobie. A potem wziąłem się w garść,  
bo od tego momentu musiałem być nie tylko ojcem, ale również  
matką dla moich dziewczynek.

Niestety, doba nadal miała tylko dwadzieścia cztery godziny.  
Dlatego po pewnym czasie złamałem się i zacząłem przyjmować  
pomoc w takich sprawach, jak zawiezenie dzieci do szkoły i ode-  
branie ich po lekcjach.

– Nie ma sprawy – odparła mama, popijając kawę z termosu. –  
Nie zapomnij, że dziś przyjeżdża ta konsultantka.

Parsknąłem drwiąco, choć klikanie pasów bezpieczeństwa pew-  
nie zagłuszyło ten dźwięk.

– O ile dobrze pamiętam, to powiedziałem jasno, że to wasz problem. To nie ja ją zatrudniłem.

Mama zachichotała.

– Ja też nie. To Becks ją poleciła, a ty dobrze wiesz, że z twoją bratową lepiej nie zadzierać.

Zaśmiałem się pod nosem, myśląc o obdarzonej ostrym językiem korespondentce wojennej, w której mój brat zakochał się na misji.

Taaa, dobrze wiedziałem, że lepiej nie wchodzić jej w paradę.

– Twój tata uważa, że to dobry pomysł. Ja też. Bądź grzeczny i do zobaczenia na kolacji!

Przesunąłem się do otwartych bocznych drzwi i pochyliłem, żeby pocałować Bree i Gracie w czołka.

– Miłego dnia. Kocham was.

– Kocham cię, tato – odpowiedziały jednocześnie.

Zasunąłem drzwi i przyglądałem się, jak van powoli toczy się po ścieżce w stronę drogi dojazdowej wiodącej do miasteczka.

Zerknąłem na zegarek. Jeszcze nawet nie było siódmej piętnaście.

Wbiegłem z powrotem po schodach na werandę i wróciłem do środka, po drodze zgarniając naleśnika. Chwyciłem go między zęby, podkradłem fioletową szczotkę do włosów Gracie i rozczesałem włosy. Pozbyłem się kołtunów, po czym związałem sięgające poniżej ramion włosy w męski koczek.

– Jesteś tam, szefie?

Podniosłem radio.

– Mów.

Głos CJ trzeszczał na linii.

– Ogrodzenie po zachodniej stronie jest uszkodzone.

– Potrzebujesz mnie tam?

– Nieee – powiedział. – Tylko daję znać.

– Przez większość dnia będę w biurze, muszę się zająć dokumentacją dotyczącą szczepień. Dawaj znać, gdybyś czegoś chciał.

– Zrozumiałem.

Do środka wpadła Sadie, z entuzjazmem waląc na prawo i lewo puszystym ogonem i spoglądając mi błagalnie w oczy.

– Przykro mi, mała. Nie odwiedzisz dziś krów. Muszę posiedzieć nad papierami.

Parsknęła i pobiegła w stronę drzwi, podczas gdy ja włożyłem buty i przymocowałem krótkofalówkę do paska.

Wlałem zawartość dzbanka na kawę do kubka podróznego i zbiegłem ze schodów. Nie przejmowałem się zamykaniem drzwi na klucz. Życie na należącym od pokoleń do rodziny ranczu miało swoje plusy. Mogłem zostawiać otwarte drzwi dla dziewczynek, kiedy wróćą ze szkoły. Mogłem zostawiać kluczyki w ciężarówce. Poza tym Bree i Gracie miały mnóstwo miejsca, żeby swobodnie sobie hasać, choć nie pozwalałem im za bardzo oddalać się od domu.

Nate, mój brat, odnalazł spokój w strefie wojennej. Ale ja?

Wyszedłem na zewnątrz i powiodłem wzrokiem po naszej ziemi, gdy lutowe słońce wylaniało się zza horyzontu.

Moje królestwo było tutaj.



Pieprzyć moje królestwo.

Ścisnąłem palcami grzbiet nosa, żeby odpędzić migrenę, i zacząłem się zastanawiać, którego z Griffithów mam obwiniać za zrzucenie na moje barki odpowiedzialności za hodowlę bydła na rodzinnym ranczu.

Pieprzone zwierzaki próbują same się pozabijać.

Klimatyzator okienny zbulgotał, a skroplona para skapywała do stojącego pod nim wiadra. Przynajmniej woda nie rozlewała się po podłodze.

Dokładnie przejrzałem dokumentację związaną ze szczepieniami, żeby przypadkiem czegoś nie przeoczyć. Rachunki zostały

opłacone. Karteczka przypominająca o wymianie oleju hydraulicznego wylądowała w koszu na śmieci, bo złożyłem już zamówienie. Czekałem na telefon od pani weterynarz, z którą współpracowaliśmy, ale to było jak czekanie, aż farba wyschnie, bo to bardzo zajęta kobieta.

Szczerze mówiąc, brakowało mi tego, czym CJ zajmował się teraz każdego dnia. Tęskniłem za poczuciem braterstwa, kiedy z resztą chłopaków przez cały dzień pracowaliśmy w terenie. Za siodłaniem konia przed świtem i wracaniem do stajni po zachodzie słońca.

Wyglądało na to, że Sadie też za tym tęskni.

Jednak zgodziłem się przejąć po ojcu obowiązki związane z zarządzaniem ranczem, żeby starszy przeszedł na emeryturę. Ja z kolei miałem teraz stałe godziny pracy i mogłem się skupić na dziewczynkach. Mnie zastąpił CJ, który świetnie sobie radził w nowej roli.

Wszystkim oprócz mnie te zmiany wyszły na dobre.

Zerknąłem na zegarek. Dziewczynki miały teraz lekcję tańca, a skoro weterynarz do tej pory nie zadzwoniła...

Podniosłem się z fotela obrotowego, który lata świetności miał już dawno za sobą, i gwizdnąłem na Sadie, sięgając po kapelusz.

– Chodźmy, mała.

Posłusznie potruchtała w kierunku stodoły.

Libby, czystej krwi klacz rasy american quarter horse, na której jeździłem od prawie dwudziestu lat, radośnie zarżała, kiedy ją osiodlałem.

Sadie niespokojnie krążyła po stajni, kiedy dosiadłem Libby i chwyciłem za wodze, żeby wyprowadzić ją na zewnątrz.

Gdy skręciliśmy za róg i zaczęliśmy się oddalać od stajni i zabudowań, Libby puściła się cwałem. Potrząsnęła głową, stukając kopytami w ubitą ziemię.

Kompleks budynków gospodarczych powoli niknął w oddali, a ja poczułem, że napięcie wreszcie puszcza. Miałem wokół siebie

czyste powietrze i światło słoneczne. Sadie, emerytowany pies pasterski, pędziła obok jak strzała.

Może nam wszystkim odrobinę już odbijało?

Postanowiłem skorzystać z tej spontanicznej przejażdżki, żeby sprawdzić okolicę i się upewnić, że wszystko jest jak trzeba.

Po kilku kilometrach Sadie wyglądała na wyczerpaną. Ściągnąłem cugle, żeby Libby zwolniła do galopu. Akurat zajechaliśmy przed dom Nate'a.

Nikogo w nim nie było.

Że jak? To więcej niż dziwne. Nate'owi i Becks wczoraj pękła rura i właśnie byli w trakcie ogarniania mokrego bałaganu. Becks, zagraniczna korespondentka, wkrótce miała rodzić i w związku z tym zrobiła sobie przerwę w pracy. Gdzie oni, u licha, się podziewali?

Na ekranach monitoringu nie widziałem, żeby jakiś pojazd – poza samochodem mamy – opuszczał nasz teren.

Cholera.

Libby musiała wyczuć, że sprawa jest pilna, więc znowu ruszyła cwałem. Pies miał dosyć i potruczał z powrotem do domu, a ja skierowałem się w stronę głównej bramy.

Becks siedziała na werandzie u moich rodziców. Ręce położyła na ciężowym brzuszku i wpatrywała się w chmurę kurzu wzbijającą się spod kół zmierzającego w naszą stronę sedana.

Rude włosy upięła w koczek na czubku głowy, w ręce trzymała szklanekę herbaty. Nie wyobrażałem sobie lepszej bratowej. Na szczęście w niczym nie przypominała Vanessy, pierwszej żony Nate'a.

Lata temu przykro mi było oglądać go tak rozbitego emocjonalnie tą całą sytuacją, a jednak nikt z nas specjalnie się nie zdziwił, kiedy się rozwiedli. Wszyscy natomiast byliśmy cholernie zaskoczeni, gdy pewnego dnia zobaczyliśmy w wiadomościach, jak ratuje spod gruzów reporterkę.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Bree i Gracie były w siódmym niebie, że zyskają kuzynkę lub kuzyna.

W bezpiecznej odległości od domu dałem Libby znak, żeby zwolniła, bo chciałem przypatrzeć się przybyszom. Sedan się zatrzymał, drzwi od strony kierowcy się otwały i z samochodu wyskoczył mężczyzna.

Zmarszczył nos i z pogardą rozejrzał się po okolicy.

Świetnie.

Becks sprowadziła nam tu jakiegoś sztywnego mieszczucha.

Obstawałem, że nowo przybyli nie zostanie ciepło przyjęty.

Nawet Libby parsknęła z niezadowolaniem.

Wtedy otworzyły się drzwi od strony pasażera.

Jasne włosy zatańczyły na wietrze jak promienie słońca. Kobieta wyprostowała się i odwróciła, uważnie studiując otoczenie zza dodających jej tajemniczości, ogromnych okularów przeciwsłonecznych.

Libby z wahaniem ruszyła naprzód, dając mi okazję przyjrzeć się stojącej do mnie tyłem nieznajomej, która miała długie aż do nieba nogi i cholernie seksowny tyłek.

Podniosła rękę, żeby zatrzaskać za sobą drzwi sedana. Na jej palcu coś błysnęło w promieniach słońca.

Cholera. Pierścionek zaręczynowy.

## 2

# Cassandra

Na wygnaniu. Musiałam uciekać z Manhattanu gdzie pieprz rośnie, jak wyjęta spod prawa. W efekcie wylądowałam prawie trzy tysiące kilometrów od życia, na które tak ciężko pracowałam.

„Poczekajmy, aż sprawa przycichnie”.

„Sytuacja rozwija się dynamicznie”.

„Wrócisz, kiedy wybuchnie nowy skandal i ludzie zapomną”.

Już nienawidziłam tego całego Teksasu. Powietrze było tak świeże, że aż mnie mdliło. Łagodny wietrzyk przyprawiał mnie o ból głowy.

Tripp zerknął na mnie zza kierownicy wynajętego samochodu, który prowadził po nierównej drodze dojazdowej.

– Nie wydaje mi się, żeby blackout medialny dopuszczał sprawdzanie nagłówków...

– Muszę sprawdzić, jak sobie z tym radzą.

Tripp szybkim ruchem wyjął mi telefon z ręki.

– Lillian już nie jest twoim problemem.

– Tym niemniej nadal jest problemem.

– Hmm, po prostu zostaw to mnie – stwierdził, co zabrzmiało zarówno lekceważąco, jak i stanowczo. Dziwne połączenie.

Czasem niełatwo być narzeczoną kolegi z pracy. Choć właściwie, z formalnego punktu widzenia, Tripp był moim szefem.

Ale to tylko semantyka.

Spojrzałam na lśniący diament na palcu, żałując, że nie jest gwiazdką spełniającą życzenia.

Zażyczyłabym sobie wehikułu czasu, który przeniósłby mnie na początek tego tygodnia. Bo wtedy nadal miałam pracę. Byłam szanowana. Nie zostałam zesłana do stanu Samotnej Gwiazdy przez szefa, który był również moim narzeczonym.

Oparłam się wygodnie, zamknęłam oczy i policzyłam do trzech.

– Nie do końca rozumiem, dlaczego uważasz, że to dobry pomysł, by mnie ukryć na jakimś ranczu. I przestań mi wmawiać, że to projekt rozwoju biznesu. Oboje wiemy, że jestem tu za karę.

Tripp wziął mnie za rękę, ale mu się wyrwałam. W tym momencie nie byłam w nastroju na czułości.

„Przełknij dumę i weź zlecenie od Rebekki Davis – teraz Rebekki Griffith – albo szukaj sobie innej pracy”.

Tripp nazwał to „zarządzeniem kryzysowym”. Dla mnie to było zwykłe ultimatum.

– To dla twojego własnego dobra. Sto procent ludzi czyta nagłówek, pięćdziesiąt procent czyta artykuł, ale nikt nie czyta sprostowania. Nie wychylaj się i daj ludziom czas, żeby zapomnieli o wszystkim. To lepsze niż domaganie się przeprosin i przebrązowanie – powiedział, zdecydowanie odwracając kota ogonem.

Stek cholernych bzdur.

W najbliższym czasie mogłam się spodziewać, że zostanę zala-  
na potopem różnego rodzaju bzdur i bredni.

– Nie jestem tchórzem. Mogę się tym zająć, naprawić to.

– Owszem, możesz, ale to jeszcze nie znaczy, że akurat ty powinnaś się tym zajmować. – Skreślił w drogę gruntową po lewej. – Muszę myśleć o firmie. A gdyby zależało ci na mnie i na swojej pracy, to też byś się zastanowiła, co jest najlepsze dla firmy. Chcesz mieć rację czy wygrać?

– Jak mam wygrać, skoro wylądowałam na ławce rezerwowych?  
Tripp prychnął drwiąco.

– Projekt rozwoju biznesu trudno nazwać ławką rezerwowych, Cassandro.

– Wysyłasz mnie do Teksasu.

– Czyli stanu o najpotężniejszej gospodarce w całym kraju.

– A to dzięki hodowli bydła – syknęłam, po czym zerknęłam na swoje szpilki od Manolo Blahnika. Nie zostały stworzone do chodzenia po ubitej ziemi. Ja też nie.

Powinnam siedzieć teraz w swoim gabinecie i pracować nad oświadczeniem dla prasy, które skutecznie stłumi plotki na temat publicznego załamania się Lillian Monroe. Powinnam odbierać telefony i umawiać spotkania, żeby wbić publice do głowy swoją wersję wydarzeń i wycisnąć z niej trochę współczucia.

Tymczasem Lillian wygrzewała się na jachcie w Hiszpanii, a ja miałam wylądować na jakimś cholernym zadupiu.

Twarz Trippa pozostała niewzruszona.

– Wiem, że sytuacja nie jest idealna, ale tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Znakomicie. Teraz zwracał się do mnie jak menadżer do zbuntowanej gwiazdki.

Wbiłam wzrok w porośnięte trawą równiny przesuujące się za oknem.

– A co z nami? W jaki sposób ta sytuacja miałaby być najlepsza dla nas? Co z naszym ślubem? – Gardło mi się ścisnęło, ale nie pokazałam tego po sobie. – Kiedy będę mogła wrócić? – zapytałam, zachowując pokerową twarz.

Tripp uśmiechnął się uspokajająco. W ogóle mnie nie słuchał od początku tej rozmowy.

– Kiedy sprawa ucichnie, porozmawiamy o ustaleniu daty. Wizerunek jest...

– ...ważniejszy od naszych uczuć.

Dobrze znałam te słowa. To było oficjalne stanowisko Trippa, o którym przypominał mi za każdym razem, kiedy przedkładał firmę albo jednego ze swoich klientów nad nasz związek.

Stłumić uczucia. Zmusić się do uśmiechu. Nawet nie drgnąć. Nie pozwolić im zobaczyć, że pękasz.

Zastanawiałam się, jak to się stało, że w ogóle dał mi ten pierścionek. Czy też chodziło o wizerunek?

Wiele razy słyszałam, jak Tripp radził nowo zatrudnionym przez siebie kobietom, żeby sprawiły sobie fałszywy pierścionek zaręczynowy. Dzięki temu tabloidy nie spekulują, czy nasze ekspertki od PR-u umawiają się z klientami, których reprezentują.

Przekręciłam pierścionek na palcu.

Nie... nie był tylko na pokaz.

Tripp mi się oświadczył. Mieliśmy przyjęcie zaręczynowe. Ale...

Nie ustaliliśmy daty.

Nie kupiłam sukni.

Nie mieliśmy druhen i drużbów.

Nic.

– Pokerowa twarz – upomniał mnie, kiedy w polu widzenia pojawiła się farma.

W oddali przetoczyła się chmura pyłu. Włożyłam okulary przeciwsłoneczne i chłonęłam wzrokiem swoje więzienie.

Tripp zaparkował i podał mi mój telefon. Nie było tu zasięgu. Ani jednej kreski. To naprawdę koniec świata.

Tripp bez słowa wyskoczył z samochodu.

Nie ma sensu zwlekać z tym, co nieuniknione. Pokerowa twarz. Kiedy wysiadłam, moje szpilki zagłębiły się w ziemi, więc

przeniosłam ciężar ciała na palce. Przynajmniej pogoda w Teksasie w lutym była lepsza niż w Nowym Jorku.

Po prawej zamajaczył jakiś cień.

Cholera jasna, słońce padało od tyłu, więc widziałam tylko zarys.

Za to, niech mnie, co to była za sylwetka...

Koń wydał mi się nieco przerażający. Czy wszystkie są o tyle większe od człowieka? Zawsze myślałam, że są bardziej przystępne.

A ten był ogromny jak czołg.

Zwierzę się poruszyło, dzięki czemu promienie słońca padły na męczycznę.

Rondo kowbojskiego kapelusza nadal zasłaniało mu prawie całą twarz, ale dostrzegłam gęstą brodę i długie włosy związane w węzeł na karku.

Jeździec trzymał ciężkie buty w strzemionach. Przesunęłam wzrokiem po długich, masywnych udach i swobodnie spoczywających na siodle rękach. Pierś miał szeroką, łagodnie przechodzącą w miękkie brzuch. Kraciastą koszulę wsunął za pasek, co podkreślało krągłość sylwetki. Wydawał się jednocześnie ułożony i trochę dziki.

Nie chciałam, by zauważył, że się gapię, więc szybko odwróciłam spojrzenie i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Łydki mnie bolały, kiedy na palcach okrążałam samochód.

– Jednak dotarłaś. – Rebecca Griffith niezgrabnie zeszła po prowadzących na werandę schodach, opierając rękę na ciężowym brzuszku.

Trzeba przyznać, że minęło sporo czasu, odkąd się ostatnio widziałyśmy. Ona opuściła Nowy Jork w poszukiwaniu bardziej zielonych pastwisk, a ja pięłam się po szczeblach kariery, aż do dnia, kiedy ta zdradziecka zdzira wbiła mi nóż w plecy i znalazłam się na samym dnie.

– Proszę, proszę! – powiedziałam, zmuszając się do uśmiechu. Becks jęknęła.

– Nawet mi nie przypominaj! Czuję się tak, jakbym zaraz miała eksplodować. W naszym domu pękła rura, więc na razie mieszkamy z rodzicami Nathana. Zaczęłam sypiać na kanapie, ponieważ nie mam siły wspinać się po schodach do sypialni. – Roześmiała się. – Przepraszam. Trochę mnie poniosło. Jak minął lot?

Tripp otworzył usta – prawdopodobnie, by się poskarżyć, że samolot był pełen ludzi – ale ja okazałam się szybsza.

– Było w porządku. Dziękuję.

Starszy mężczyzna dołączył do Becks. Wyglądał wypisz wymaluj jak ten kowboj, tylko nieco schludniej.

Jego broda, pewnie jeszcze niedawno tylko przyprószona siwizną, teraz była całkiem biała. Miał na sobie flanelową koszulę wsuniętą w dżinsy, a na nogach parę butów, które swoje najlepsze lata miały już dawno za sobą.

– Szanowna pani... – powiedział i uniósł kapelusz, chwytając go za denko, po czym wyciągnął w moją stronę rękę. – Miło, że zawitała pani w nasze skromne progi. – Zerknął na Trippa. – A ten tu, to kto? Przywiozła pani ze sobą szofera?

Tripp spojrział na niego z pogardą.

– Tripp Meyers. Wiceprezes do spraw marketingu w Carrington Group.

Starszy dżentelmen przyglądał mu się bez mrugnienia okiem.

– Ta wasza, yyy, grupa... Zawsze przysyłają wiceprezesów w charakterze przyzwoitki?

Usłyszałam za sobą chrzęst żwiru. Zawisnął nade mną jakiś cień, jakby chmury gradowej.

– Nie wzbudza wielkiego zaufania, jeśli potrzebuje niańki. – Zadrżałam na dźwięk wibrującego basu za plecami.

– Tripp to mój narzeczony – wyjaśniłam oschle, przejmując kontrolę nad sytuacją. Nie byłam zachwycona wizją pobytu tutaj,

jednak im szybciej odbębnię tę karę, tym szybciej odzyskam własne życie.

Ktoś prychnął, ale nie byłam pewna, czy był to kowboj, czy jego koń. Zrobiłam profesjonalną minę i położyłam dłoń na ramieniu Trippa.

– Pomimo napiętego grafiku znalazł chwilę, żeby mnie odwiedzić, zanim się uda do Europy.

Cień za mną milczał. Starszy mężczyzna złagodniał. Becks wyglądała tak, jakby chciała wymiotować.

Szczerze? Też mnie mdliło, ale dzisiaj nie miałam czasu na torsje.

– No cóż... – odezwał się starszy mężczyzna. – Miło mi poznać was oboje. Jestem Silas Griffith. – Wskazał palcem na tajemniczą postać za mną. – I jestem ojcem tego tutaj, a wkrótce będę dziadkiem maleństwa. – Tym razem wskazał na brzuch Becks.

Trippowi aż powieka drgnęła z irytacji.

– Może by tak sobie darować tę wieśniacką wymianę uprzejmości? – syknął mi szyderczo do ucha przez zaciśnięte zęby.

– Panie Griffith, chciałabym się z panem jak najszybciej spotkać, żeby omówić aktualną sytuację finansową rancza oraz ustalić, jakich konkretnie efektów pan oczekuje, zatrudniając mnie.

Mężczyzna z rozbawieniem poruszył wąsem, po czym podniósł pomarszczony palec i wskazał za mnie.

– W takim razie proponuję pani spotkanie z tamtym panem Griffithem.

Odróciłam się i prawie wpadłam na ścianę. Tymczasem kowboj zeskoczył z konia. Skrzyżował potężne ramiona na klatce piersiowej. Stopy miał szeroko rozstawione, jakby się przygotowywał na przyjęcie uderzenia.

– Z tego, co pamiętam, powiedziałem, że nie mam nic przeciwko, aby tu była, pod warunkiem, że nie będę jej miał na głowie.

Bardzo miłe przyjęcie. Najwyraźniej południowa gościnność była mocno przereklamowana.

Silas parsknął śmiechem.

– Synu, skoro przejąłeś po mnie gospodarstwo, to teraz wszystko jest na twojej głowie! Moje gratulacje! Idę się zdrzemnąć.

– Mam swoją robotę – nie odpuszczał kowboj.

Jednak Silas już się wspinał z powrotem po schodach prowadzących na werandę.

– Jackson miał przygotować dla niej chatę. Mama mu kazała ją wysprzątać. Do zobaczenia na kolacji!

Becks – moja krajanka z Manhattanu – z jękiem odwróciła się w stronę domu.

– Przepraszam, ale muszę siusiu. Nie zachodź w ciążę. To okropne.

– Ale... – Nie zdążyłam skończyć, bo Becks zniknęła we wnętrzu domu tak szybko, jak jej na to pozwalał pokaźny brzusek.

Tripp zerknął na zegarek. Nie rozumiałam, dlaczego jest taki niespokojny. Jego samolot odlatywał dopiero następnego dnia.

Tymczasem moją szyję owiał gorący oddech.

Czyżby ten drugi pan Griffith już mnie obwąchiwał? Nie zamierzałam mu na to pozwolić.

Właśnie się odwracałam, żeby mu powiedzieć, że ma iść do diabła, gdy owłosiony pysk musnął moje ramię. Wrzasnęłam, prawie wyskakując ze skóry.

Ze zdziwieniem dostrzegłam błysk białych zębów, kiedy kowboj – syn Silasa – uśmiechnął się szeroko.

– Ona nie gryzie.

A on...?

– Ten koń jest wielkości traktora z przyczepą. Bardziej się bałam, że mnie stratuje.

Zwierzę, ewidentnie urażone moją opinią, uderzyło kopytem w ziemię.

Zerknęłam przez ramię i zobaczyłam, że Tripp bezsensownie krąży wokół samochodu, próbując złapać choć jedną kreskę zasięgu.

Nie miałam ani cierpliwości, ani ochoty, żeby teraz się nim zajmować.

– Cassandra Parker – przedstawiłam się, żebyśmy mogli wreszcie przejść do konkretów.

Nie podał mi ręki. Przez dłuższą chwilę swoje potężne ramiona nadal miał skrzyżowane, a następnie powtórzył gest swojego ojca i uniósł kapelusz za denko.

– Christian Griffith.

Podniósł wzrok, jakby zobaczył za mną coś interesującego, więc się odwróciłam i podążyłam za jego spojrzeniem.

Tripp, który odszedł się jeszcze kawałek dalej w pogoni za wiecznie wymykającym się zasięgiem, raz za razem zwracał się do osoby, którą miał na linii. Powtarzane w kółko: „Halo? Halo? Słyszać mnie teraz?” robiło się irytujące.

– Czy twojego chłopaczka nie trzeba przypadkiem wziąć na smycz? – zapytał Christian.

Bywały dni, kiedy myślałam, że przydałby mu się kaganiec.

– Nic mu nie będzie.

Tripp zupełnie nie zwracał uwagi, gdzie idzie. W efekcie wszedł prosto w tył pikapa i uderzył kolanem w hak holowniczy.

– Kurwa mać...!

Zgiął się wpół, chwytając się za nogę, a jednocześnie sprawdzając na ekranie komórki, czy osoba na drugim końcu linii go usłyszała. Zrobił kilka chwiejnych kroków do tyłu, aż spod obcasa jego mokasy na rozległ się niewróżący nic dobrego, mokry dźwięk.

Tripp zastygł w bezruchu. Powoli spojrzał w dół, żeby sprawdzić, w co właśnie wdepnął.





Christian przesunął się w moją stronę, staliśmy teraz obok siebie. Brodacz uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Skąd tu się wzięło błoto? – Tripp prychnął gniewnie, wyciągając stopę z brązowego kopczyka, aż rozległo się obrzydliwe mlaśnięcie.

# SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



**Papierowe  
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  [wydawnictwopapieroweserca](#)
-  [papieroweserca](#)
-  [papierowe\\_serca](#)